

EUGEN KOGON

## Dzień w obozie koncentracyjnym (fragmenty *Państwa SS*)\*

O brzasku w obozie rozlegały się gwizdy na pobudkę, latem między czwartą a piątą rano, zimą między szóstą a siódmą. W ciągu następnej pół godziny trzeba było się umyć, ubrać, zjeść śniadanie i ułożyć siennik w łóżku – zadanie bardzo często nie do wykonania w tak krótkim czasie.

Dowódca obozu, Lagerführer o nazwisku Plaul – wysoki facet, chudy jak szczapa, nieco pochylony do przodu, który swoją obozową karierę rozpoczął jako Unterscharführer w Sachsenburgu, potem kontynuował ją w kilku kacetach, by zakończyć jako Untersturmführer w obozie „Laura” w Saalfeld i w HASAG-u koło Lipska – wszędzie, gdzie się pojawiał, wprowadzał tzw. gimnastykę poranną. W obozie koncentracyjnym Buchenwald nastąpiło to w późnych miesiącach zimowych 1942 roku. Plaul był jednym z tych, którzy lubili znęcać się nad więźniami. Nienawidził więźniów politycznych i chętnie współpracował z kryminalnymi. Odtąd na pół godziny przed zwyczajowym czasem pobudki wszyscy musieli opuścić bloki i w szaleńczym tempie, przez 20–30 minut „uprawiać” gimnastykę, która polegała głównie na padaniu i wstawaniu, w błocie i w śniegu. Jednak na skutek licznych zapaleń płuc i wypadków śmiertelnych nigdzie nie utrzymano tego ćwiczenia na dłużej.

Śniadanie więźniów składało się z kromki chleba wydzielonej z racji, jaką każdy otrzymywał na cały dzień, oraz pół litra cienkiej zupy lub tzw. kawy bez mleka i cukru. Całodzienne porcje wydawano w różnych blokach o różnej porze dnia, na przykład w jednym bloku wieczorem, w innym rano. Jeśli ktoś dostał swoją porcję wieczorem i zjadł ją w całości, to w porze śniadania zostawał o pustym żołądku, co – jak pokażę to w rozdziale mówiącym o pracy – miało decydujące znaczenie.

---

\* Nieodpłatnej licencji na dokonanie przekładu i zgody na publikację dwóch fragmentów książki Eugena Kogona *Der SS-Staat. Das System der deutschen Konzentrationslager* (1946) udzieliło wydawnictwo Replika. Książka ukaże się jego nakładem w 2016 r.

Po tych przygotowaniach rozpoczynał się apel poranny. Więźniowie z poszczególnych bloków zbierali się na dany znak w uliczkach między barakami i w zwartych szeregach, po ośmiu, maszerowali na plac apelowy. We mgle poranka, w świetle reflektorów z wieżyczek strażniczych przecinającym obozowe uliczki, kolumna za kolumną szły tysiące nędzarzy odzianych w pasiaki – tego widoku nie zapomni nikt, kto choć raz go widział. Na placu apelowym każdy blok zajmował swoje z góry przydzielone miejsce. Apel poranny, podczas którego liczono cały skład obozu, trwał zwyczajowo około godziny, aż do momentu, kiedy rozwidniło się już na tyle, aby można było rozpocząć pracę. Apel poranny nie miał tak wielkiego znaczenia jak apel wieczorny, który muszę opisać osobno. Jeśli liczba więźniów się zgadzała – a tak było najczęściej, bo w nocy niewiele mogło się zmienić w obozie w porównaniu z dniem, zaś ewentualne przypadki zgonów między zmierzchem a świtem zgłaszane były przed apelem przez szpital więźniarski – to cała armia głów ogolonych na zero słyszała komendy: „Czapki z głów!” („Mützen ab!”) i „Czapki na głowy!” („Mützen auf!”). Tak brzmiało pozdrowienie poranne, wyrzaskiwane przez głośnik przez Rapportführera w obecności pełniącego właśnie służbę dowódcy obozu. Jeśli więźniowie nie wypełniali rozkazów dostatecznie „dziarsko”, to komendę powtarzano aż do skutku. Zachęta do jej prawidłowego wykonania brzmiała mniej więcej tak: „Wy przekłete przez Boga skurwiele, skoro jesteście za leniwi na to, żeby przewietrzyć wasze tyse pały, to będę was tu ćwiczyć tak długo, aż wam się woda w dupach zagotuje, dranie!”

Potem rozlegał się krzyk, którego wszyscy się obawiali: „Wyznaczeni więźniowie do bramy!”. To dotyczyło tych, którzy poprzedniego dnia dostali karteczkę z wezwaniem z kancelarii więźniarskiej. W Buchenwaldzie, przed lewym skrzydłem budynku bramy, stało sześć tablic, przy których wywołani przez głośnik więźniowie musieli oczekiwać na jakiś nieznaną rodzaj przeznaczonych im szykan. Kiedy w końcu więźniom udało się ustalić, która tablica oznaczała konieczność udania się do wydziału politycznego, która otrzymanie kary cielesnej, a która kwestie zupełnie niewinne (wiadomości, podpisy, poświadczenia notarialne i tego typu sprawy urzędowe), to wtedy nagle zmieniono kolejność tablic. Były to drewniane, solidne deski, mocno osadzone w ziemi, każda z nich oznaczona numerem – i przy nich więźniowie musieli czekać tak długo, aż ich stąd zabrano, bardzo często całymi godzinami, w potwornej niepewności wobec oczekującego ich losu. (Gdyby ich rodziny zdawały sobie sprawę z tego, ile szkód psychicznych czyniły zwyczajnymi pytaniami, kwestiami finansowymi itp.!). Oczywiście, nikt z więźniów stojących przy bramie nie miał możliwości, żeby się schronić czy ukryć, odwrotnie – byli oni narażeni na zaczepki krążących tam całymi grupami esesmanów. Ci z sadystyczną satysfakcją wypytywali więźniów o powód wywołania do tablicy, którego żaden z nich przecież nie znał. Nigdy więc więźniów nie mógł udzielić im zadowolającej odpowiedzi. W takich przypadkach esesmani odpowiednio brutalnie „pomagali” milczącemu nieszczęśnikowi „przywrócić pamięć”.

Często nie dawano jednak więźniom karteczek z numerami „tablicy tej i tej” poprzedniego wieczoru, lecz po prostu wykrzykiwano przez głośnik numery więźniów podczas rannego apelu i mogę powiedzieć z własnego doświadczenia, że – nieważne, o co chodziło – nagłe usłyszenie własnego numeru w tej sytuacji powodowało ostre ukłucie w sercu. Zaraz potem rozlegał się rozkaz: „Komanda pracy, wystąp!”. Wtedy wszyscy, jak jeden mąż, w dzikim popłochu gnali do wyznaczonych miejsc zbiórki poszczególnych komand. Wymarsz do pracy następował równymi piątkami, do wtóru gorących rytmów wygrywanych przez orkiestrę obozową, która zimą stuknęła w instrumenty zdrętwiałymi od mrozu palcami. Pod bramą znów trzeba było jednym błyskawicznym ruchem zdjąć czapki i następnie ułożyć dłonie na szwach spodni. Potem kolumna biegła truchtem, śpiewając pieśni, do wyznaczonych miejsc pracy.

Praca albo trwała do późnego popołudnia, przerywana półgodzinną przerwą obiadową na powietrzu (przy czym przez długi czas zabraniano więźniom zabierania ze sobą chleba), albo w południe komanda wracały na dwa-trzy kwadransy do obozu, żeby szybko zjeść obiad. Ten jedyny w ciągu dnia ciepły posiłek składał się zazwyczaj z litra mniej lub bardziej cienkiej zupy, czasem nawet z wkładką. Od 1938 roku nie urządzano już w Buchenwaldzie osobnych apeli południowych, ale za to zaczęto doliczać do czasu przerwy obiadowej także czas dojścia i wyjścia do i z obozu. W każdym obozie mogło to wyglądać inaczej w szczegółach, jednak ogólne ramy, wspólne wszystkim kacetom, nakreśliłem powyżej.

Po zakończeniu pracy, zimą około siedemnastej, a latem o dwudziestej – czas zakończenia przedłużano o pół godziny w okresie między marcem a listopadem – następował powrót do obozu, znów w pięcioosobowych rzędach, obok kapeli obozowej, której zadaniem było odgrywanie w bramie radosnych melodii – na apel wieczorny.

Apele te, na których zliczano stan obozu, we wszystkich kacetach były postrachem dla więźniów. Po ciężkiej harówce, kiedy każdy tęskni do zasłużonego wypoczynku, trzeba było jeszcze godzinami stać na placu apelowym, często podczas wietrznej pogody, w deszczu czy na kłującym mrozie, dopóki SS nie policzyło swoich niewolników i nie stwierdziło, że w ciągu dnia nikt nie uciekł za druty. Techniczne przygotowania do apelu musieli przeprowadzić więźniowie, ponieważ rzadko kiedy jakiś esesman był w stanie sam prawidłowo wszystkich policzyć. Więźniowie starali się nie popełnić żadnego błędu, szczególnie w przypadku, kiedy chodziło o licznych „odkomenderowanych” więźniów, którzy nie mogli przerywać pracy i z tego względu nie stawiali się na apelu, ale trzeba było doliczyć ich do całości.

Wyszukiwanie błędów, nawet jeśli w rzeczywistości nikogo nie brakowało, często okrutnie przedłużało apel i rabowało więźniom ich ostatnie wolne chwile. Przy obłożeniu od pięciu do siedmiu tysięcy łatwo było zauważyć, że kogoś nie ma. Jednak trudniejsze było to przy stanie od piętnastu do dwudziestu tysięcy

więźniów, nie mówiąc już wcale o liczbach między trzydzieści pięć a pięćdziesiąt tysięcy. Liczni cudzoziemcy pojmowali apel jako rodzaj nieznośnego pruskiego drylu, przed którym trzeba było się schować. Jakże często zdarzało się, że jeden więzień, siedząc w ukryciu, po prostu przespał apel, a w tym samym czasie dziesiątki tysięcy mężczyzn stały na placu, aż na nogach powstawały im krwawe rany, dopóki nie znaleziono „sprawcy”. (Jego los był potem nie do pozazdroszczenia, ale i nikt mu nie współczuł). A kiedy brakowało choćby jednego jedyne go więźnia, to trzeba było odczytać setki numerów i nazwisk z poszczególnych bloków, często przy pomocy tłumaczy: nazwisk polskich, rosyjskich, francuskich! Każdy może sobie wyobrazić, jak długo to wszystko trwało, szczególnie wśród Tatarów i Ukraińców, którzy podchodzili do tego z azjatycką obojętnością. A jeśli jeszcze zdziczali esesmani wydzierali się na cały plac i bili więźniów! I tak bardzo rzadko apel wieczorny trwał krócej niż półtorej godziny.

We wszystkich obozach koncentracyjnych place apelowe były arenami wielu potwornych tragedii. Jak często cały obóz musiał stać, kiedy uciekł jeden jedyny więzień! Mogło to trwać całe godziny, zanim SS doprowadziło go z powrotem. Na wypadek, gdyby ktoś ukrył się na obszarze podległym komendanturze, ustanowiono też posterunki wokół całego zewnętrznego terenu obozu. Akcje poszukiwawcze wewnątrz tego łańcucha posterunków musiały być prowadzone przez więźniów: starszych blokowych, kapów, vorarbeiterów i strażników obozowych. Na przykład w czasie wieczornego apelu 14 grudnia 1938 roku zabrakło na placu dwóch zawodowych kryminalistów. Mimo piętnastopniowego mrozu i zbyt lekkiego odzienia więźniowie musieli stać na apelu przez dziewiętnaście godzin. Jeszcze w nocy zmarzło dwadzieścia pięć osób, a do południa następnego dnia liczba zmarłych wynosiła już siedemdziesiąt. Jesienią 1939 roku znów cały obóz stał bez przerwy przez osiemnaście godzin, bo dwóch kryminalnych ukryło się wygodnie w chlewie. Stać po pracy przez cały wieczór, noc i następny poranek aż do południa bez jedzenia i picia – to tak łatwo napisać! Łatwo też zanotować liczbę zmarłych, nie mówiąc już o przewlekłych szkodach zdrowotnych, jakie kosztowało to setki ludzi i które często w późniejszym czasie przynosiły im śmierć. Jaką ulgą dla nas stały się naloty powietrzne! Na skutek ataków lotniczych wprowadzono powszechny obowiązek zaciemniania, do którego musiało się także dostosować SS, tak więc nie mogło już włączać reflektorów po zmierzchu. Od tego momentu apele trzeba było po prostu kończyć o jakiejś porze, bez względu na to, czy uciekinier się znalazł, czy też nie. W egipskich ciemnościach SS nie miało już kontroli nad obozem, a nade wszystko – esesmani obawiali się więźniów!

Od czasu do czasu esesmańscy blockführerzy dostawali rozkaz przeszukania wszystkich więźniów stojących na placu apelowym. Trzeba było opróżnić kieszenie, a ich zawartość badali żołnierze, przy czym z reguły konfiskowali pieniądze i tabakę. Pewnej lutowej (!) niedzieli w 1939 roku, podczas jednej z takich akcji, wszyscy więźniowie musieli przez trzy godziny stać nago. Żona

komendanta Kocha podeszła wtedy wraz z czterema innymi małżonkami wysokich dowódców SS do ogrodzenia obozu i rozkoszowała się widokiem nagich męskich postaci.

Na apel musieli stawić się wszyscy, nieważne, w jakim stanie – żywi czy martwi, złożeni gorączką czy pobici do krwi. Wyjątek czyniono tylko dla więźniów odkomenderowanych do pracy oraz chorych zarejestrowanych w szpitalu więźniarskim. Kto w trakcie dnia pracy zmarł w baraku albo w swoim komandzie roboczym, tego przyciągano na plac. W ciężkich czasach tuziny takich zabitych, zamrożonych i umierających leżały ułożone w pięknym równym rzędku u stóp odpowiedniego bloku więźniów stojących na placu, biorąc udział w swym „ostatnim apelu” – ponieważ SS dbało o porządek i czystość aż do ostatniego tchnienia. Dopiero po apelu można było zabrać umierających do szpitala, a zwłoki zmarłych przenieść do kostnicy.

Kiedy w końcu przeliczono wszystkich więźniów, kiedy rozbrzmiały już rozkazy „Mützen ab!” i „Mützen auf!”, to wtedy zwykle padała komenda „Wszyscy na lewo!”. Po niej następowały publiczne kary i egzekucje, o czym opowiem w osobnym rozdziale. Tak czy inaczej, po wszystkim dowódca życzył sobie zaśpiewania pieśni – „Ein Lied!”. Im silniej padał deszcz, tym głępszą piosenkę kazano nam śpiewać. A trzeba było stać w strumieniach deszczu, po ciężkim dniu pracy! Tylko stoicki spokój pozwalał to przetrwać, to śpiewanie raz, trzy razy, nawet pięć razy z rzędu tego samego, np. *Przyleciał ptaszek... czy Co tam łśni na lasu skraju...* Większość obozów miała swoje własne pieśni, napisane przez przymuszonych do tego więźniów tylko na potrzeby tego właśnie kacetu. Wśród nich były utwory, które szybko przekroczyły bramy obozu i zyskały szeroką popularność, np. *Żołnierze bagien*. [...]

Pod koniec 1938 roku pierwszy dowódca obozu więźniarskiego, Sturm-bannführer Rödl, zarządził: „Wszystkie inne obozy mają już swoje hymny. Ja chcę mieć hymn Buchenwaldu. Kto go napisze, dostanie dziesięć marek”. Wkrótce do dowództwa wpłynęło mnóstwo propozycji. Przyjęto tekst, który cytuję dalej. Za autora podał się ówczesny kapo poczty więźniarskiej, „zielony”<sup>1</sup>, z zawodu konferansjer. Miał on dobre układy z SS. W rzeczywistości twórcami pieśni było dwóch austriackich Żydów: tekst napisał Löhner-Beda, wcześniej librecista Lehára, a muzykę – wiedeński śpiewak kabaretowy Leopoldi. (Löhner-Beda zginął później w Auschwitz, a Leopoldi wystarał się o zwolnienie i wyemigrował do Ameryki).

Gdy się budzi dzień, słońce śmieje się.  
Ciągnie kolumn rój na codzienny znój  
w głąb poranka, w posępne, złe cienie.

<sup>1</sup> „Zielony” to zwyczajowe określenie więźnia kryminalnego, „czerwony” – politycznego, „czarny” – tzw. asocjalnego, „fioletowy” – świadka Jehowy, „różowy” – homoseksualisty. Nazwy pochodziły od kolorów trójkątów naszywanych na pasiaki [przyp. tłum.].

W dali czarny las, niebo krwawi się  
każdy nosi chlebak, a w nim chleba kęs.  
W sercach, w sercach jest tylko zwątpienie.

O, Buchenwaldzie, losie moich przeżyć,  
zapomnieć trudno cię.  
Kto cię opuścił, wtedy może zmierzyć,  
jak piękną wolność ceni się.  
O, Buchenwaldzie, skarżyć się nie chcemy,  
czy przyszłość dobra, czy też zła.  
Skoś wszystko przecież życiu – tak – powiemy,  
aż przyjdzie kiedyś dzień,  
co wolność da!

Jak gorąca krew! Gdzieżeś, dziewczę, gdzie?  
Śpiewa wiatr wśród drzew, że wciąż kocham cię.  
Oby dziewczę mi wierne wciąż było!  
Chociaż twardy jest głaz, przecież silny nasz krok,  
Choć przytłacza nas kilof, gdy idziemy przez mrok  
W sercach, w sercach głęboko tkwi miłość.

O, Buchenwaldzie...

Jaka krótka noc, jaki dzień długi jest  
I śpiewamy wciąż pieśń — to ojczysty śpiew.  
Nikt nie może nam wyrwać nadziei.  
Trzymaj krok, druhu mój! Nie trać sił, choć los zły.  
Wciąż chęć mocną przetrwania nosimy we krwi  
W sercach, w sercach zaś wiara jaśnieje!<sup>2</sup>

Więźniowie musieli teraz poświęcić swój wolny czas na naukę tekstu i melodii. W końcu pewnego wieczoru – był to koniec grudnia 1938 roku, mróz do szpiku kości, głęboki śnieg – na placu apelowym zabrzmiał rozkaz: „Pieśń buchenwaldzka!”. Siedem tysięcy ludzi – można sobie wyobrazić, że pierwsza próba była kakofonią, kocią muzyką. Rödl, kompletnie pijany, był wściekły, że nie udało się za pierwszym razem, i wydał rozkaz, żeby każdy blok śpiewał samodzielnie tak długo, aż się wszystkie nawzajem zgrają. Na placu rozpętało się piekło. Kiedy Rödl zauważył, że to też nie jest droga do celu, nakazał wspólnie śpiewać zwrotkę po zwrotce i powtarzać to tak długo, aż pieśń stała się w miarę zrozumiała. Trwało to jakieś cztery godziny, zanim dowódca obozu w końcu odkomenderował więźniów. Jednak każdy blok, ustawiony w dziesiątki, musieli przy tym ze śpiewem na ustach przemaszerować przed nim i innymi pijanymi

<sup>2</sup> Tłumaczenia tekstu *Buchenwaldlied* z języka niemieckiego dokonał Edmund Polak (1915–1980), poeta i dziennikarz, w latach 1943–1945 więzień obozu koncentracyjnego Buchenwald. Por. W. CZARNECKI, Z. ZONIK: *Walczący obóz Buchenwald*. Przedmowa F. RYSZKA. Warszawa 1969, s. 388–389 [przyp. tłum.].

dowódcami SS, którzy brali udział w tej „zabawie”. Biada blokowi, który nie maszerował równo, jak pod linijkę albo fałszował podczas śpiewu – jeszcze raz, jeszcze raz, aż do skutku! O dziesiątej wieczorem ludzie wygłodzeni i zmarznięci zeszli wreszcie z placu.

Po odmaszerowaniu – ach, chciałoby się wierzyć, że męki i udręki całego dnia są już za nami i że każdy z nas będzie mógł teraz spokojnie usiąść do posiłku. Ale kiedy wracaliśmy do baraków, często zastawaliśmy tragiczne skutki tzw. kontroli blokowych, przeprowadzonych w czasie naszej nieobecności przez esesmańskich blockführerów – przewrócone lub po barbarzyńsku opróżnione szafki, których porządkowanie powodowało dzikie sceny w tłumie zdenerwowanych, szukających swoich naczyń i sztućców więźniów. Jedzenie, które przy trwającej przez cały dzień pracy wydawano dopiero wieczorem, było oczywiście zimne na skutek przedłużającego się apelu. Racja dzienna, fasowana wieczorem, składała się z porcji chleba, kawałka margaryny i kawałka kiełbasy lub łyżki twarogu. I nagle rozległ się wrzask sztubowego: „Achtung! Blok taki i taki, skrzydło B! Stu trzydziestu pięciu więźniów przy kolacji!”. Wrzask rozległ się z tego powodu, że któryś z scharführerów czynił sobie sadystyczną przyjemność z pojawienia się na bloku. Jeszcze stojąc w drzwiach, taki esesman krzychał: „Świnie, wszystkie świnie, kryć się pod stół!”. Ławki leciały w górę, miski spadały z brzękiem na ziemię, a i tak zawsze znaleźli się jacyś nieszczęśnicy, dla których mimo najlepszych chęci zabrakło już miejsca pod stołem. Ci właśnie stawali się potem ulubionym obiektem kopniaków i razów. Tego typu „zabawy” urozmaicano sobie od czasu do czasu. Inni blockführerzy rozkazywali podczas kolacji sprzątać cały blok lub wyrzucali więźniów na dwór, gdzie nakazywali im jakieś bzdury, na przykład stanie na głowie w śniegu. A kto to potrafił? Tymczasem z taką samą oczywistością wymagano tego od starych i chorych, podobnie jak biegania w kółko naokoło baraku. A jak ktoś nie potrafił, to wtedy spadał na niego deszcz kopniaków, razów, uderzeń. I nawet w tych rzadkich chwilach, kiedy po wieczornym apelu na bloku panował spokój, trudno się było pozbyć nerwowego uczucia, że w każdej sekundzie piorun może uderzyć z nieba.

Kiedy zaś apel nie trwał zbyt długo, to już po jedzeniu niektóre grupy więźniów musiały pracować jeszcze przez kilka godzin, aż do późnej nocy. Inni kręcili się jeszcze przez jakiś czas po uliczkach między barakami, przebywali w umywalniach i latrynach albo szli zaraz do łóżka. W momencie odtrąbienia ciszy nocnej – w zależności od pory roku między ósmą a dziesiątą wieczorem – wszyscy, z wyjątkiem pracujących, musieli znajdować się w swoich blokach, a pół godziny później na pryzkach.

Spać pozwalano tylko w koszulach – i to również podczas najmroźniejszych miesięcy zimowych w często kompletnie wyziębionych „sypialniach”, których przesiąknięte wilgocią, kamienne ściany nierzadko były skute lodem w kątach i przy ramach okiennych. Blockführerzy lubili urządzać tzw. kontrole nocne. W środku nocy kazali wszystkim śpiącym ustawiać się przy swoich łóżkach

albo nawet na zewnątrz przed blokiem, żeby wyłapać tych, którzy mieli na sobie jeszcze jakąś dodatkową sztukę odzieży. Jak trafił się ktoś, kto miał na sobie spodnie lub skarpetki, to musiał się liczyć z najcięższymi karami. Czasem wszystkim więźniom z danego bloku, boso i w samych koszulach, nakazywano przez dwa kwadransy czy i całą godzinę biegać wokół budynku. Tego typu nocne akcje SS nie odbywały się regularnie, lecz w niespodziewanych odstępach czasu, a najczęściej wtedy, kiedy esesmani sobie popili. Ponieważ jednak kontrola taka mogła się wydarzyć każdej nocy w każdym bloku, to strach wciąż wisiał w powietrzu. Bogu dzięki, najczęściej byliśmy zbyt zmęczeni i wyczerpani, by długo nad tym rozmyślać. Noc rozciągała swój miłosierny płaszcz ciągle zbyt krótkiego snu nad naszą nędzą. Tylko starzy, chorzy, niemogący zasnąć, w ciężkich myślach przeczekiwali noc aż do kolejnego żałosnego poranka.

### Burdele w KL

Latem 1943 roku Himmler wydał „zarządzenie w imieniu Rzeszy” o organizacji w obozach koncentracyjnych sieci burdeli. W ilu obozach one faktycznie powstały, tego do dzisiaj nie wiem. W każdym razie w Buchenwaldzie był pierwszy, następnie pojawiły się one w Sachsenhausen, Dachau i Mauthausen.

Burdel obozowy w Buchenwaldzie ochrzczono skromnym mianem „budyńku specjalnego” (*Sonderbau*) i zlokalizowano go, nieprzypadkowo, pomiędzy blokiem eksperymentów medycznych nr 46 a blokiem szpitala więźniarskiego. Budowę tego przybytku przyśpieszono tak bardzo, że odłożono nawet na bok plan rozbudowy szpitala, co w obozie było potrzebą o wiele pilniejszą. Następnie z kobiecego obozu koncentracyjnego Ravensbrück sprowadzono do każdego kacetu, w którym zorganizowano burdel, grupę od osiemnastu do dwudziestu czterech dziewcząt – zawsze pod nadzorem dwóch esesmanek, o manierach żołnierek na polu bitwy. Więźniarki te zgłaszały się dobrowolnie, zwiędzone obietnicą, że po sześciu miesiącach zostaną zwolnione z obozu. Jednak karty chorobowe, jakie zabrały ze sobą, wskazują na wcześniej przebyte choroby takiego rodzaju, jaki niekoniecznie świadczyłby o skromnym stylu ich życia w czasach przedobozowych. Oprócz kilku nielicznych wyjątków większość z nich raczej bez oporu poddała się swemu nowemu losowi. Czas odwiedzin u nich wynosił zwyczajowo – dla ludzi bez „pleców” na „górze” – dwadzieścia minut, po uprzednim badaniu w szpitalu więźniarskim i z końcowym sprzętaniem w pokoju.

Ze strony SS celem tego całego przedsięwzięcia było uzyskanie wpływu na więźniów politycznych, którzy otrzymali prawo wstępu do burdelu – poprzez ich skorumpowanie, szpiegowanie, odciągnięcie uwagi od roboty politycznej.

W obozie buchenwaldzkim szybko wprowadzono więc zarządzenie wewnętrzne o ignorowaniu tego przybytku i to nie tylko z powodów właśnie podanych, ale także z przyczyn społecznych: należało uznać za skandal i hańbę to, że żony i matki przesyłały mężom i synom uwięzionym w obozie swój z trudem zaoszczędzony, ostatni grosz, a oni wydawali z tego dwie marki za wstęp do obozowego burdelu. Ale zaraz na początku kierownictwo SS zmusiło ówczesnego pierwszego starszego obozu do wizyty w „budynku specjalnym”. Gdyby ten się nie ugiął, to pewnie usunięto by go ze stanowiska, co miałyby straszliwe skutki dla całego obozu. Starszy obozu wzbraniał się przedtem przez dwa dni, potem ustąpił, ale już ponownie tam nie poszedł. W większości więźniowie polityczni trzymali w tej sprawie wspólny front odmowy, co spowodowało zniweczenie pierwotnych nadziei SS. Mimo to „budynek specjalny” przyczynił się do wybuchu w obozie korupcji wszelkiego rodzaju, a także do rozplenienia się kradzieży, głównie zawartości przysyłanych paczek – ponieważ potrzeba sprawiania prezentów kobietom z budynku specjalnego wypływała nie tylko z „miłości”, ale też dawała możliwość, aby dzięki podarkom zapewnić sobie dostęp do burdelu poza dopuszczalnym czasem odwiedzin oraz przedłużyć wizytę poza przepisowe dwadzieścia minut. Ludzie ustosunkowani w obozie, o szerokich „plecach”, silni kapo i vorarbeiterzy mieli – dzięki koronkowym koszulkom, biustonoszom, bucikom – całe godziny do dyspozycji na tego typu rozrywki w czasie wolnym. I pośród tysięcy wynędzniałych postaci, chwiejnie kroczących pomiędzy życiem a śmiercią, wyróżniała się teraz cała banda osiłków, którzy przy całym swym irytującym przesycie dodatkowo przechwalali się wyczynami seksualnymi i całymi dniami w swych wygodnych komandach pracy ze szczegółami opowiadali współwięźniom, jakie to cuda wyczyniali rzekomo poprzedniego wieczoru w burdelu. Pewnie byli wśród nich i tacy, którzy zużytkowali na to ostatnie siły życiowe w myśl powiedzenia „drogiego Augustyna”<sup>3</sup>, w dniach dżumy potwarzającego sobie: „Człek musi mieć frajdę, a jak nie ma frajdy, to musi mieć człowieka”.

Zdarzało się, że w burdelu dochodziło do najdzikszych bijatyk. Pewnej nocy więźniowie kryminalni wdarli się do budynku i, kompletnie pijani, rzucili na kobiety. Zaalarmowana straż obozowa otoczyła burdel i po regularnej walce oczyściła go z kryminalnych, przynajmniej z większości.

Obie nadzorzynie z SS zachowywały się gorzej niż kurwy. Nie tylko utrzymywały stałe stosunki z esesmanami, ale także z ochotą kładły się z każdym więźniem, który przyniósł im funt masła czy innego, odpowiednio pikantnego jedzenia. Sprzedawały też kobiety z burdelu, robiąc im reklamę wśród eses-

<sup>3</sup> To nawiązanie do ludowej piosenki austriackiej *O du lieber Augustin*, mówiącej o przygodzie pijaka Augustyna podczas wielkiej zarazy w Wiedniu w 1679 r. Wzięto go wtedy za trupa i wrzucono do masowego grobu, skąd wydostał się dzięki zaalarmowaniu ludzi grą na dudach i szelmowską piosenką. W tekście nie ma jednak słów cytowanych przez Kogona. Por. [https://de.wikipedia.org/wiki/Marx\\_Augustin](https://de.wikipedia.org/wiki/Marx_Augustin) [data dostępu: 30.06.2015] [przyp. tłum.].

manów, mimo że wizyty SS w przybytku dla więźniów były surowo zakazane. Z biegiem czasu były tak skorumpowane, że nie mogły się już pokazywać wśród więźniów, bo straciły wszelki posłuch. Dlatego komendant je zwolnił, a zamiast nich zatrudnił esesmanów, którzy oczywiście zaczęli zachowywać się w ten sam sposób, co poprzedniczki. W każdy możliwy sposób wykorzystywali kobiety osadzone w burdelu i sami szybko stracili jakikolwiek autorytet. Żeby jakoś utrzymać ten biznes, trzeba było w końcu zatrudnić straż więziarską, której zadaniem było pilnowanie kobiet przed dybiącymi na nie esesmanami.

Do takiego otoczenia sprowadzono księżniczkę Mafaldę<sup>4</sup>, córkę włoskiej pary królewskiej, kiedy 24 sierpnia spłonął osobny barak dla prominentnych więźniów. Księżniczka, jedna z ofiar nalotu bombowego, odniosła ciężką ranę barku, ale uratowano ją spod gruzów. Lekarz obozowy dr Schiedlausky osobiście przeprowadził amputację ramienia rannej, mimo to pacjentka zmarła z powodu upływu krwi. Nagi trup księżniczki, razem z trupami mężczyzn, trafił, jak inne, do krematorium, ale tam ze stosu wyciągnął go ojciec Joseph Thyl, który był odpowiedzialny za sekcje zwłok. Thyl przykrył ciało i zadbał o jego szybkie spalenie. Z włosów księżniczki odciął lok, przemycił go następnie z obozu i przechował w Jenie, żeby potem przekazać go heskim krewnym kobiety jako ostatnią pamiątkę.

---

<sup>4</sup> Mafalda di Savoia (1902–1944), córka króla Wiktora Emanuela III, żona księcia Filipa Heskiego. Por. [https://it.wikipedia.org/wiki/Mafalda\\_di\\_Savoia](https://it.wikipedia.org/wiki/Mafalda_di_Savoia) [data dostępu: 30.06.2015] [przyp. tłum.].

Tłumaczenie *Magdalena Sacha*